

1920–1996

Przełożyła Justyna Wodzisławska

Ja, własnoręcznie niżej podpisany, Kaput Ľudovít, urodzony 14. 11. 1920 r. w Kis Komlós, po naszymu Komlós, teraz Węgry, zamieszkaniem Republika Słowacka, powiat Nové Zámky, Hajnovo, z czystą świadomością i sumieniem, za które cierpiał Pan Nasz, Jezus Chrystus, dzisiaj rano wbiłem mocny hak i, żeby nie doszło do żadnych nieporozumień i winności innych, chcę oznajmić, co następuje:

Ojciec mój był stolarzem i uczyłem się u niego, byłem młodzieńcem zręcznym i silnym. Jeszcze jako czeladnika ojciec mój zabrał mnie do Békeškiej Čaby do Steindla, żeby sfotografować, bo wtedy był taki zwyczaj, że kiedy młodzieniec dostał nowy kapelusz, który z przodu miał pióro od orła, ale to nie było od orła, tylko farbowane od koguta, to szło się sfotografować. W domu obok w taki sposób, że my mieliśmy okna na ich ogródek za domem, mieszkała pewna rodzina, nazywała się Mazan, mieli córkę, nazywała się Judit, nazywaliśmy ją Jucą. Z tego fotografowania się wracaliśmy ze stacji, bo ona była jakieś 6 kilometrów od Komlóša, pieszo z ojcem, a jak się skręcało z gościńca, to tam zobaczyliśmy Jucę, że idzie przed nami, miała na sobie niebieską sukienkę w żółte kwiaty. Juca miała na policzku brodawkę, obok nosa, taką, jakby jej tam usiadła mucha. Szliśmy razem aż do domu, szła między nami: ojciec, Juca i ja, i tak szliśmy aż do Komlóša.

I Juca, Juca mnie złapała za rękę. Juca miała tę brodawkę, ale w całej wsi nie było takiej, która by jej ciałem dorównywała, bo była cienka jak młode drzewko, które można złapać jedną ręką. Jakżem już był napisał, złapała mnie za rękę. Stało się to na jednym małym zakręcie, a za tym zakrętem, to było

właściwie takie małe zakole przy drodze, była kapliczka ze św. Benedyktem, a kiedy ją mineliśmy, puściła moją rękę i więcej się to już nie powtarzało.

Wieczorem moja starsza siostra Helena mi powiedziała, że do Jucy przychodzi taki jeden Węgier z Čaby, że jej to powiedziała stara Mazanka, nazywał się Szvorád Ottó, który robił na kolei w warsztacie u kowala. Poznałem go jeszcze jako chłopca, bo też był młody. Mnie to nie przypadło, tylko że tego wyżej wzmiankowanego nie widziałem u nich nigdy, nie wiedziałem, co się dzieje. Wyżej wzmiankowanego jednak u nich zobaczyłem, kiedy ojciec wysłał mnie kiedyś do nich coś im oddać z powrotem, siedzieli w kuchni, Juca tłukła orzechy, podawała mu je wprost do ust, a on jej wtedy zawsze brał palec do ust i oblizywał, cieszyli się. Nie zauważyli mnie, a ja na to patrzyłem, a potem poszedłem sobie.

Poszedłem na tą drogę, cośmy na niej byli wtedy i tam pod tą rzeźbą św. Benedykta głośno płakałem, tą rzeźbę kopałem i głośno przeklinałem. Potem wróciłem do domu. Wieczorem moja siostra Helena mi powiedziała, że wie o zapowiedziach w przyszłą niedzielę, wyśmiewała się ze mnie, ale kiedy zobaczyła moje oczy, to przestała i potem przyszła w nocy, że zna takie czary, co dobre nie są i czy ja je chcę wypróbować. Słuchałem tylko, bo nie wiedziałem, na co mi się to może przydać. Że kiedy ich ksiądz proboszcz zapowie, to żebym sobie powiedział życzenie i zrobił znak krzyża lewą ręką, a potem, jak już będą brać ślub, to że dostanę znak, czy to zostanie wysłuchane. Nie miałem żadnego życzenia, może tylko to, żeby mieć aparat jak ten Steindl.

Czułem zaniepokojenie, a w tą niedzielę było zimno, kiedy ich ksiądz proboszcz zapowiedział i wtedy coś we mnie powiedziało: „Żeby Mazan Judit była tylko moja” i przycupnąłem za ławką i lewą ręką się przeżegnałem. Potem się wyprostowałem i czułem się tak, jakby mnie coś unosiło do góry, nikt tego nie zauważył i stało się tak, że nie modliłem się nawet na Mszy św. i zaprzestać nie umiałem tego unoszenia się. Ślub ich był 30-tego listopada, kościół był pełny, a Juca miała taką szczupłą talię, że aż mi oczy zaszczyły łzami i nos mnie

bolał, wtedy, jak ich ksiądz proboszcz błogosławił przez obrączki, wtedy, kiedy miał już powiedzieć: „In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti”, to wtedy nawet ust nie zdążył otworzyć, a cały kościół napełnił się głosem, potężnym, donośnym, strasznym głosem, który śpiewał jak na pogrzebie: „Dies irae, dies illa, solvet saeculum in favilla”, co znaczy: „Dzień on boży, dzień on grozy, w popiół świat ogniem położy”, wtedy to usłyszałem i przestraszyłem się tak, że ciało całe mi osłabło i rozum mi się zatrzymał, rozglądałem się po innych, ale tu każdy sprawiedliwie się modlił i ja już w tej chwili wiedziałem, że zostałem wysłuchany, co się tyczy mojej prośby i że dostałem Znak.

Potem byłem na uczcie weselnej. Patrzyłem tylko to na Jucę, to na Otta i jakoś nie umiałem tego zrobić, żeby mi było dobrze, bo połowa serca mi się cieszyła jak pies zerwany z łańcucha, a druga mi się cała trzęsła jak pies na łańcuchu uwiązany, a to wszystko dla tego Znak. Po północy byłem już pijany i mój ojciec zaniósł mnie do domu.

8 grudnia Szvorád Ottó w drodze na łodzi ze stacji w Komlóšu się był poślizgnął, na ciemność upadł, wstał jeszcze, trzy kroki zrobił, potem znowu upadł i umarł. To jest wiadomym stąd, że był z nim pewien Kociha, który tak zeznał i jak go chciał ratować, i jak musiał pobiec po pomoc. Ja byłem właśnie w obejściu, para szła mi z ust, kiedy się ludzie zbiegli i nieśli tego umarłego, widziałem Judit, jak wyszła z domu, jak się potknęła, ale nie upadła, dokuśtykała do tych, co nieśli jej męża, rzuciła się na niego, a umarły Ottó spadł na nią i przywalił ją, ona leżała, a on na niej, ona go rękami przytrzymywała i nikt się ruszyć nie mógł, jakbyśmy wszyscy byli skamieniali. Potem tego trupa z niej zdjęli, ale Juca dalej leżała na ziemi. Podnieśli potem i ją i wtedy chyba odeszła od rozumu. Ja stałem za furtką i na to wszystko patrzyłem.

12 grudnia był pogrzeb. Po pogrzebie była stypa i Juca siedziała za stołem, patrzyła na każdego z nas, delikatnie się miło uśmiechała, więc do niej podszedłem, żeby coś zjadła, wzięła podniosła z miski ciastko i całe wsadziła sobie do ust, mlaskała i coś jakby pochlipywała. Potem wsadziła do ust

następne, a ja poczułem, że ma nadzieję orzechowe, wybiegłem z sali, jednak nie potrafiłem zwymiotować, chociaż długo mi się zbierało.

Na wiosnę zaszedłem do księdza proboszcza, że chętnie bym naprawił tę kapliczkę św. Benedykta i pomalował jakoś. I dokonałem tego. Potem poszedłem do księdza proboszcza, że za darmo bym robił za kościelnego, bo byłem jeszcze młody i silny i wszystko mogłem, to jednak nie pomagało, bo ile tylko roboty bym sobie dołożył, ile tylko intencji modlitewnych bym nie powziął, to ten straszny grzech, co we mnie wyrósł i którego nawet na Spowiedzi św. nie odważyłem się wspomnieć, zapuszczał we mnie korzenie i mnie przygniatał do ziemi. Modliłem się i prosiłem błagalnie, że niech przyjdzie Znak, jak mi zostanie odpuszczone, ale nic nie przyszło.

A potem dzień po dniu widziałem, jak Juca się zmienia, bo ciągle tylko jadła i jadła, aż stała się taka, jak stara Mazanka, ale jeść nie przestawała. Ale z ludźmi gadała, a Helena, moja siostra, mówiła, że Juca czasem mówi, że musi szybko skończyć jeść, bo mąż wraca z roboty. Ja sam od ludzi stroniłem i tylko pokładałem nadzieję. Jednej nocy obudziłem się nad ranem, wyszedłem na podwórze i widziałem światło u Mazanów, popatrzyłem przez okno i zobaczyłem Jucę, jak skubie koguta, trzymała go na brzuchu, była w samej koszuli nocnej. Zostałem pod tym oknem i patrzyłem, jak skończyła skubać koguta, wypatroszyła go, wsadziła do piekarnika i siedziała przed kuchenką, zaczekała, aż się upiecze, a następnie powoli jadła go z otwartymi ustami, każdą kość dokładnie obgryzła i wylizała, a potem te kości wkładała w ogień tak precyzyjnie, że nawet iskry z kominka nie leciały. A ja tylko patrzyłem. Zjadła całego.

Własnoręcznie zgłosiłem się do poboru, to było w 1943-cim. Pokładałem nadzieję, że dzięki pokaraniu ciała moja dusza wyzdrowieje, ale nie wzięli mnie, bo miałem słaby słuch. Modliłem się wtedy codziennie całymi godzinami.

W 1948, wtedy byli już komuniści, było ważenie świń przy wyliczaniu majątku, więc na tą wagę rzeźnicką dla rozrywki wsadzili też Jucę. Nawet ci

zapisywacze się śmiali. Miała 188 kg. Byłem tam i wszystko widziałem. Pomogłem jej z tej wagi zejść, a wieczorem swojej matce i swojemu ojcu powiedziałem, że się z Jucą ożenię. Ojciec nawet na mnie nie spojrział, tylko splunął, a matka płakała i poszła do księdza proboszcza, oboje to umawiali, a ja wierzyłem w ten Znak. Swatów nie było trzeba, Juca była bez rozumu, matki się wzajemnie umówiły, biedaczki, obie tylko płakały.

Ślub mieliśmy mieć września 30, już mnie wtedy ludzie unikali. Trzeba było jeszcze przed ślubem wypełnić kwestionariusze w stanie cywilnym w Čabie, bo i tam też miał być ślub cywilny, bo bez cywilnego kościelny był nieważny. Mieliśmy pojechać tylko we dwójkę pociągiem do Čaby, z Komlůšu szliśmy pieszo na dworzec, tą drogą, a ja w tym samym miejscu złapałem ją za rękę.

Tylko że Juca nie umiała wejść na schodki w pociągu, nie umiała się dwa metry podciągnąć, nawet jej pomagaliśmy, ale na darmo się tylko zapierała i zapierała, bo chęci w tych rękach nie było całkiem, wyglądała, jakby świnię postawili na tylnych racicach, a niebo jak na sądzie ostatecznym u św. Jana pociemniało, więc białe gołębice wyglądały jak skorupy talerza, co się je rozrzuca przy ślubie na szczęście, i nawet wózek towarowy chcieli przystawiać, żeby jej pomóc, bo ja już nie mogłem.

Wracaliśmy w deszczu, ja miałem wtedy 80, a ona 188 kg. Deszcz jej wtedy zmoczył sukienkę i całe to nazarte cielsko i grubaśne kolana i to wszystko kobiece widać było tak, jakby przykryć maciorę czymś mokrym, ale i tak złapałem ją za rękę i przed św. Benedyktem żeśmy przyklękli, cały ślub odprawiłem według obrządku, możliwe, że się jej rozjaśniło w głowie, bo odpowiadała poprawnie i to „tak” trzy razy powtórzyła, potem pocałowałem ją w te mokre usta i na św. Benedykta spoglądałem, i nawet w tę brodawkę ją pocałowałem, usłyszałem tylko jej duszący oddech i deszcz, nic innego nie słyszałem. Poza tym było cicho.

Do domu przyszliśmy ubłoceni, nikt mnie o nic nie pytał, nawet moi ode mnie stronili, została u swoich rodziców, czasem przyniosłem jej kurczaka albo ciastko, macierz moja płakała, ojciec spluwał, następnie ten urzędnik Kociha, co był owego dnia z Ottónem, powiedział, że on wyjeżdża razem z wysiedlonymi na Słowację, bo tam stoją puste domy, tylko brać, więc wybrałem się do Jucy. Juca jadła właśnie smalec, bez chleba, tylko nabierała łyżeczką i jadła z otwartymi ustami. Długo patrzyłem na nią.

A potem wziąłem 40 sztuk orzechów, nic więcej, tylko te orzechy i zamknąłem się w drewnutni, bo chciałem wypościć i wymodlić ten Znak. 40 dni się modliłem i oczy wypłakiwałem, ciągle jednak widziałem to olbrzymie cielsko i te kości z tego koguta, jak je wylizywała i czy to z tych orzechów, że były stare, czy od tej wilgoci, ciągle mi się tylko zbierało na wymioty, nie pomogło nawet wsadzanie palców do ust, dużo wtedy schudłem. Nawet nie wyglądałem przez okno, tylko tą czarną ziemię brałem w ręce i twarz sobie wysmarowywałem. A potem chciałem zrobić tą ziemią krzyż na ziemi, i już zrobiłem tą kreskę, na której panu Naszemu Jezusowi Chrystusowi ciało zwisło i chciałem zrobić tą drugą, gdzie jego ręce za nas cierpiały, ale coś we mnie podniosło lewą rękę i dookoła tej pierwszej kreski narysowałem ten znak, co się go rysuje o kobietach i co jest bezwstydnym. A potem zobaczyłem, co narobiłem i po tej ziemi zacząłem skakać i krzyczałem głośno, i płakałem, i przeklinałem siebie, bo wiedziałem, że jestem nieczysty.

To było już dnia czterdziestego pierwszego, więc wyszedłem z tej drewnutni, spakowałem się, a tę fotografię od Steindla podarowałem Jucy, nie patrzyłem już na nią i bez zwłoki załatwiłem sobie przesiedlenie. W 1950 przesiedliłem się i u rodziny tego Kocihy zostałem lokatorem, przyjęli mnie na kolei do roboty. Na początku byłem przetokowym pomocniczym, a potem głównym. W 1982 poszedłem na emeryturę, gdzie jestem po dzień dzisiejszy.

Nie ożeniłem się, rodzice mnie odumarli tego samego dnia, matka rano, a ojciec wieczorem, to było w 1956, pojechałem na pogrzeb na Węgry,

odszukałem Jucę. Swojej siostrze Helenie oddałem wszystkie swoje oszczędności, było to 28 000 koron czechosłowackich, żeby Jucy dopomagała, powiedziała, że będzie. Juca się postarzała, nie poznała mnie, dalej już nie tyła, ciągle miała te swoje 188 kg, po raz ostatni widziałem ją w granatowym ubraniu roboczym, jak wyjadała ziarenka słonecznika. Nigdy więcej jej nie widziałem. Teraz w marcu moja siostra Helena mi napisała, że Juca umarła na serce, dzisiaj rano obudziło mnie coś ciepłego i mokrego pode mną. Długo nie rozumiałem, co to takiego, a potem wstałem i w kuchni wbiłem mocny hak. Potem zaczęło mi się zbierać na wymioty i potem długo, długo wymiotowałem. Wszystkie leżące obok moje oszczędności proszę podzielić równo między J. Kocihę i moją siostrę Helenę, z d. Kaputovą. Więcej nic.

Opowiadanie dostało Nagrodę Specjalną Jury w konkursie na opowiadanie Povedka 1996.

Wykorzystałam przekład Jana Białobockiego.

© Koloman Kertész Bagala, Vydavateľ'stvo L.C.A. Levice, www.lca.sk